WYLEĆ PTAKIEM Z SWEGO GNIAZDA



MIŁAĆ BĘDZIE TAKA JAZDA (W. POL)

ORLI LOT

ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH MŁODZIEŻY P. T. K.



ROK VI. LISTOPAD 1925. Nr. 9.

Zeszyt ten zawiera od str. 133 artykuły nadesłane przez Koło Krajoznawcze Młodzieży przy Polskiem Tow. Krajoznawczem w Warszawie.



Stanisław († 1524) i Janusz († 1526), ostatni książęta mazowieccy oraz siostra ich Anna. Obraz z XVI w. nieznanego malarza, wiszący w sali radnej Magistratu warszawskiego.

STANISŁAWA NIEMCÓWNA.

Z moich wędrówek.

(Listy z podróży do Egiptu).

V.

Pełnia przed Wielkanocą 1925. Czas wolny od zebrań kongresowych wypełniamy zwiedzaniem muzeów i zabytków Kaira, a także mniejszemi wycieczkami w okolicę. Wieczorem po kolacji gromadka nasza z National Hotelu i to w małej liczbie osób czterech decyduje się szybko wyzyskać piękno nocy księżycowej i jechać ku piramidom. Istnieje pewne zastrzeżenie co do mego udziału jako, że ciągle wieczorami trapi mnie gorączka i brak oddechu — a wieczór bardzo chłodny — ale przeważa z mej strony ciekawość ujrzenia ponownie krajobrazu pogranicza pustyni w specjalnem oświetleniu pełni — więc jadę i ja. Usadawiam się w aucie obok szofera, Rosjanina dobrze mówiącego po angielsku. Jest to człowiek o dużej kulturze towarzyskiej, uchodźca z Rosji, zarabiający szoferstwem na utrzymanie rodziny. Jedziemy dosyć szybko, ale i tak możemy rozmawiać, bądź to o jego i współziomków losach, bądź o Egipcie i ludności, którą miał sposobność bliżej poznać. Opowiada spokojnie o życiu Rosjan na emigracji, chociaż staram się nie wyciągać z niego szczegółów, żeby nie być niedelikatną i nie grzebać w cudzem nieszczęściu. Jest w tem opowiadaniu dużo prostoty i szczerości, ale i beznadziejności, płynącej z faktu odcięcia drogi powrotu do kraju, zamknięcia także tych sfer życia, w których dotąd się obracał. Mimowoli przypominam sobie z historji okres naszej wielkiej emigracji i tę prawdę, że „wszędzie, wszędzie na planecie braci naszych ryty ślad“, tak teraz naród rosyjski rozsypał po całym globie ziemskim swe najlepsze może dzieci..., bo jeszcze nieraz udało nam się w ciągu podróży zetknąć z emigracją rosyjską.

Rosjanin tymczasem przechodzi w rozmowie do tematów bardziej miejscowych. Mówi głównie o zabobonności Arabów, ich brudzie, często nakazanym np. odnośnie do niespędzania much, ich wielkiej śmiertelności z powodu zakaźnych chorób szerzących się gwałtownie w arabskich dzielnicach. Jedziemy ciągle wpoprzek doliny Nilu ku pustyni, na której brzegu niby graniczniki wznoszą się piramidy dawniejsze i młodsze. Jest tak cicho — zwalniamy, żeby wchłonąć w siebie ożywczy chłód wieczoru i dać uszom wypocząć po hałasie i zgiełku miast wschodnich. Po drodze mija nas jakiś samochód. Poznajemy naszych towarzyszy podróży — i oni mieli ten świetny pomysł przyjrzenia się Sfinksowi w świetle księżyca. Urządzamy wyścigi wzajemne — ale nas wyprzedzają o parę minut wcześniej osięgając podnóże piramid.

Z prawdziwą obawą myślałam, że zamiast ciszy i chwili dumania trzeba będzie rozmowę podtrzymać ze spotkanymi towarzyszami prac kongresowych. Ależ o radości! wszak to już do tradycji należą owe czasy rycerskiej uprzejmości Polaków — jak dobrze,

że nie do tradycji żywej... Chyba, że się ją na chwilę odnawia na pokaz dla zagranicy... W tym wypadku sytuacja była uratowana — nasi towarzysze znikli — Bogu dzięki.

Księżyc znacznie już wzniesiony nad horyzontem (godzina 11 w nocy) oświecał bardzo dokładnie piramidy, które robiły dużo potężniejsze wrażenie aniżeli w dzień — bardziej majestatycznie strzegły niedostępnego terytorjum pustyni. Może to wrażenie majestatu potęgowała cisza — rzadko spotykana u stóp owych kolosów, gdzie zwiedzający nieraz z narażeniem życia i ledwo z pomocą policji może się wydrzeć z rąk licznych przewodników nawzajem go sobie odbijających.



Zalew Nilu w czasie wysokiego wodostanu po krańce pustyni.

W dzień piramidy nie robią wielkiego wrażenia, może z powodu wielkiej liczby zwiedzających, braku spokoju i możliwości skupienia się. Teraz jednak mimo pięknej nocy zaledwie kilka grup i to przeważnie pochodzenia polskiego znajdowało się na horyzoncie. Wszyscy przestrzegali ciszę albo mówili przyciszonym głosem jak w świątyni — a nawet tak zachowywali się nieliczni zresztą o tym czasie zwykle bardzo głośni przekupnie starożytności.

Schodzę szybko ku zagłębieniu, w którem znajduje się Sfinks — ten, którego obraz ma w przyszłości towarzyszyć Wam — moje drogie! wisząc nad głową uczących w Waszej klasie — i przywodząc Wam na myśl zawsze sfinksowe wyniki waszych odpowiedzi...

Po żwirowym piasku pustyni tak oświetlonym, że prawie każdy ślad stopy można odcyfrować, dostaję się ku południowej stronie, by stamtąd objąć całość wzrokiem. Na tle jasnego, prawie ciemno niebieskiego nieba rysują się trzy sylwetki: potężnej, wiel-

kiej Piramidy Cheopsa wysokiej na 137 m... o podstawie kwadratu o boku 227·5 m długim; drugiej niższej Chefrena i trzeciej jeszcze niższej Menkera, których każdy poszczególny blok jest w jasnem świetle księżycowem doskonale widoczny. Lecz wkrótce od nich zwrok mój ku Sfinksowi się skierowuje. Nie mogę oczu oderwać, tak bardzo ludzką i żywą zda się być ta twarz, w dzień nieco przypominająca oblicze Wielkiego Księcia Konstantego.

Teraz w świetle księżyca wszelkie uszkodzenia niejako się uzupełniają dzięki cieniom i pomnik nabiera więcej cech potęgi i dostojeństwa. Nikt nie wchodzi mu teraz na kark, jak to czynią w dzień, by się właśnie na szyi Sfinksa fotografować — nikt nie spina się na głowę — wogóle spokój... spokój jak na dalekiej



Scena rodzajowa z nad Nilu. W głębi widoczne piramidy Gizeh.

polskiej wsi. Sfinks leży poniżej platformy płyty Libyjskiej, na której wznoszą się piramidy, chociaż jest sam wykuty w całości w litej skale będącej częścią składową owej płyty właśnie. Ma postać lwa z głową ludzką i prawdopodobnie już przez naturę tak był ukształcony, a ręka ludzka nieco później może uzupełniła pracę przyrody. Twarz Sfinksa miała przypominać twarz Chefrena; lecz dziś jakże zeszpecona i przez ludzi i przez niszczącą działalność wiatrów pustyni. Wysokość Sfinksa wynosi do 20 m. Dawniej zasypany i z powrotem odwiany dziś znajduje się pod szczególną opieką konserwatorów i w ostatnich czasach powstał nawet pomysł odnowienia tego zabytku.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Mijają szybko chwile, gdy człowiek się zamyśli i pod wpływem silnego wrażenia skupi się wewnętrznie. Jak zawsze, tak i teraz

myśl w swym rozwoju dotknęła aż najgłębszych strun duszy... i na tym samym piasku u stóp tegoż Sfinksa ujrzałam w mej wyobraźni starych wiarusów legjonowych, co drogą okrężną na Egipt szli wyzwalać Polskę. Piachy pustyni paliły im stopy, lecz miłosierny wiatr zrównywał ślady żołnierskiej bosej nogi... Gromada oddana na życie i śmierć jednej idei i jednemu dążeniu...

A teraz my — to chyba dopiero drugi raz, jak Egipt Egiptem, tak w większej liczbie został najechany przez Polaków... lecz nas mniejsza gromada — nie tak zwarta czy zgodna, chociaż pono jednej służąca idei i ożywiona myślą rozsławienia imienia Nauki Polskiej wśród wszystkich narodów świata.

Jak temu postulatowi odpowie nasza gromada kongresowa? Ironiczny uśmiech Sfinksa zdawał się być odpowiedzią...

M. B.

* * *

Są myśli niepospolite, świetne, błyszczące, które odbywszy swe drogi zachodzą w przeszłość, ustępując miejsca innym; potrzebne w swoim czasie wydają światło miejscowe, a potem gasną, a na opustoszałem polu pracy i myśli ludzkiej pojawiają się idee nowe, odpowiadające potrzebom chwili i duchowi czasu, nie skupiające jednak w sobie ogólnych dążeń ludzkości, nie posiadające słonecznej żywotności, źródła rodzimych prądów, ogniska społecznego ducha.

Lecz są i takie idee, którym czas nigdy skrzydeł nie przytnie; wiążą się one razem z krwią bohaterów, znojem ludu, pracą myślicieli i rzeczywistością wypadków nieustannem tętniąc życiem. Są to idee, które przez swą żywotność trwają. Nie skurczą się one nigdy w granice formy, bo forma zewnętrzna — to tylko przejściowy stopień dobry i konieczny na chwilę, ale to nie cel drogi.

Do takich idei należy idea krajoznawcza.

Niejeden myśli: „Krajoznawstwo — to jest, że się tak wyrażę, znanie kraju“. Tak jest, ale zarazem jest to określenie nieodpowiednie, bo czyż istotą rzeczy w danym razie jest znać Wawel, Warszawę, Wilno, Oliwę, Lwów, Poznań, gdzie i jakie są pamiątki narodowe, żeby być prawdziwym ideowym krajoznawcą? Nie..! Mimo, że to jest konieczne, jednak nie wystarczające.

Wielkie słowa: Miłość Ojczyzny są tu główną ostoją, dokoła której snuje się nić myśli przewodniej.

* * *

My, jako młoda generacja krzewicieli idei krajoznawczej mamy przed sobą wielkie zadania do spełnienia.

Rzeczą smutną, ale niestety prawdziwą, jest to, że u nas w Warszawie stosunek młodzieży szkolnej do wszelkich ideowych celów w przeważnej części jest niemal że obojętny. Jednak nie zrażamy się tem i idziemy naprzód drogą oświetloną przez naszą gwiazdę przewodnią. Zrażać się nie powinniśmy i nie możemy, albowiem

raz wytknąwszy sobie jakiś cel, w którego żywotność się wierzy, trudno go opuścić; dowodziłoby to małoduszności. Co raz zostało wszczepione, tego się z łatwością wykorzenić i zetrzeć nie da.

* * *

Ojcowie przekazali nam spuściznę dziejową dwojaką: duchową — a więc tradycję narodową i zewnętrzną — w postaci szmatu ziemi, na którym żyjemy. One były dla nich zawsze podstawą życia; dla nich oddawali wszystko: mienie, szczęście domowe i życie.

My, jako dziedzice tej spuścizny musimy to, co otrzymaliśmy, pielęgnować, albowiem jesteśmy z tem związani duchem narodowo-polskim, który po „próbie grobu“ odrodził się i nas powołał do pracy i życia.

Jesteśmy Polakami i dla Polski pracować i żyć powinniśmy.

PIOTR MAMROT.

Na falach Bałtyku.

Posuwamy się szybkim krokiem, zmierzając do Wielkiej Wsi, dwudziesty drugi dzień naszej wycieczki minął, jak wyszliśmy z Mławy. Ciekawość ujrzenia pełnego morza pchała nas naprzód; cel naszej pielgrzymki, do której szliśmy przez tak długi okres czasu, wydawał się nam, nieznającym bezmiaru przestrzeni wód, czemś nadziemskim. Za Swarzewem widok wspaniały na Wielkie i Małe morze ukazał się naszym oczom. Małe morze spokojne zasłonięte półwyspem Hel; woda poruszana lekko wichrem falowała. Wielkie morze szumiało już zdaleka, jakoś tajemniczo, złowrogo. Dzieli je wązka przestrzeń półwyspu pokryta lasem.

Jedynem marzeniem teraz to tylko nocna wyprawa z rybakami na połów, przyjrzenie się ich życiu, przyrodzie, z którą się zżyli, pokochali, a z którą walczą.

— — — — — — — — — — — — — — —

Godzina $1^1/_2$ w nocy, ciemno, poruszamy się uliczkami Wielkiej Wsi świecąc drogę lampkami elektrycznemi. Ponury szum wód zwiastował nam o zbliżaniu się w kierunku morza. Na „strandzie“ pusto, kilka wielkich łódek żaglowych stoi na piasku w pewnem oddaleniu od morza, oczekujemy z niecierpliwością rybaków. Księżyc wyszedł z poza chmur oświetlając wody Bałtyku. Nagle usłyszeliśmy ciche rozmowy i ujrzeliśmy ogniki papierosów, to rybacy się zbliżają, rozdzielili się na grupki, każda z nich doszła do swojej łodzi. Miarowo pomagając sobie jednostajnym krzykiem zaczęto pchać łódź po piasku. Ciężar to ogromny, po pewnym czasie dopiero zepchnięto łódź do wody. Wsiadło nas łącznie z rybakami 14, wiatru nie było, należało wiosłować, morze było ciche nadzwyczajnie, ani jedna fala, ani jedno poruszenie nie zdradzało obecności wody.

Powoli zaczęło się rozwidniać, księżyc zstępował majestatycznie w morze, gdzie wkrótce skrył się zupełnie. Na miejsce jego poka-

zało się na horyzoncie złotawe słońce. Rybacy wiosłowali bez przerwy, poruszaliśmy się szybko naprzód. W dali widać było inne łodzie zdążające na połów. Rybacy prosili nas o śpiew, uczyniliśmy to z chęcią, wtem jeden z rybaków skinął nam, żebyśmy się uciszyli i wskazał palcem w kierunku ciemnej masy wychylającej się z morza. „Pies morski" — rzekł. Istotnie płowy łeb foki wynurzył się na krótko.

Po dwugodzinnej jeździe dojechaliśmy do punktu połowu. Białe szmaty na kijach, umocowane przy balonach szklanych sterczały z morza, są to znaki sieci. Zatrzymano łódź, jeden z rybaków wyjął pierwszy znak, a z nim kotwicę zanurzoną w wodę.

Jednocześnie wciągać zaczął sieć do łodzi Flądry pozahaczane swemi chrząstkami dostawały się w ręce rybaków, od czasu do czasu dorsze, czasami „kur latający". Przeszło centnar ryb spoczywał na dnie łodzi. Rybacy zadowoleni z połowu korzystając z wiatru rozpięli żagiel. Po nastawieniu nowych sieci, rybacy przestali wiosłować, wzięto kierunek domu. Wesołe piosenki kaszubskie rozlegały się, my zmęczeni drogą i jednostajnem kołysaniem się łodzi zasnęliśmy. Słońce było już wysoko i ogrzewało nas swemi promieniami, gdy dojeżdżaliśmy do Wielkiej Wsi. Żony rybaków i przekupnie oczekiwali nas już na brzegu. Pożegnaliśmy się z miłymi towarzyszami połowu, dziękując im za piękną przejażdżkę, oraz za doznane wrażenia, których się chyba nigdy nie zapomni.

E. PIOTROWSKI.

Warszawa za książąt Mazowieckich.

Kiedy na właściwem Mazowszu, w Płockiem, tętniło już życie polityczno-społeczne, w tym czasie Warszawa, przyszła stolica potężnego państwa, była skromną wioską, położoną w sąsiedztwie przeprawy przez Wisłę. Było to w pierwszej połowie wieku XIII. Niebawem jednak książęta Mazowsza budują tu swoją siedzibę, często łupioną przez hordy Rusinów i Litwinów. Ciągłe niebezpieczeństwa, grożące mieścinie, zmusiły właścicieli do zajęcia się jej losem. Konrad II, powróciwszy z niewoli litewskiej, buduje siedzibę książęcą na wyniosłym brzegu Wisły, otacza ją murem postanawiając jednocześnie założenie miasta na prawie niemieckiem. Wytknięto regularny czworobok rynku, z rozchodzącemi się od niego ulicami poprzecznemi, wybudowano dwie potężne wieże, które przetrwały długie lata Kto był wójtem — zasadźcą miasta — nie wiemy, albowiem przywilej lokacyjny zaginął i nawet w odpisie do nas nie doszedł. Inicjatywa dana przez Konrada II. znalazła całkowite poparcie u jego następców. W wieku XIV. stolicę książęcą zamyka mocny pierścień obwarowań, co zachęca naturalnie ludność napływową do osiedlania się. Dzięki traktom handlowym, Warszawa rozwija się bardzo szybko, i kiedy w 1339 r. zjechali delegaci papiescy dla zbadania sprawy Krzyżaków, na syreni gród padł wybór jako na miejsce sądu. Sąd odbył się w domu wójta, który

miał zaszczyt gościć wielu dygnitarzy Rzeczypospolitej. W owym czasie ściągają do Warszawy OO. Augustjanie, którym książe Ziemowit wystawił klasztor i kościół pod wezwaniem św. Marcina. Wielkiej powagi nabrało miasto w 1406 r., kiedy to książe Janusz przeniósł kollegjatę z Czerska do Warszawy, uposażając ją gruntami miejskiemi oraz kilkoma wioskami. Rozrost miasta zmusza do wyodrębnienia z terenu Starego Miasta nowego organizmu miejskiego, z oddzielnym wójtem i magistratem. Odtąd, jak pisali dziejopisarze: „Są dwie mieście od siebie rozdzielone, jedno murowane, które zowią Stare Miasto, a drugie Nowe Miasto drewniane; każde z nich swego prawa używa i osobny urząd mają".

W wieku XV uzyskuje Warszawa od książąt coraz nowe przywileje i ulgi, a goszcząc w murach swoich królów polskich potrafi ich zjednać dla swej sprawy. Kupcy warszawscy prowadzą rozległy handel zagranicą, a jeden z nich Jurga Baryczka przywozi z Norymbergji, jako pamiątkę swej podróży, figurę Pana Jezusa, znajdująca się do dziś w katedrze św. Jana. Rozwój handlu powoduje tworzenie się patrycjatu miejskiego, a wraz z bogactwem mieszkańców, zyskuje wiele Warszawa na swym wyglądzie zewnętrznym. Chociaż znajdowało się w niej wielu przybyszów obcych, to jednak ludność była rdzennie polska i nawskroś katolicka. Istniał nawet zakaz książęcy z 1525 r. zabraniający zwolennikom nauki Lutra przebywać w granicach miasta. Żydom był wstęp wzbroniony do Warszawy. Ale podstępni wyznawcy Mojżesza potrafili do wieku XV utrzymać swoją gminę w siedzibie książęcej. Dopiero Zygmunt Stary wyrugował w 1527 r. Żydów z terytorjum miasta. Poważną rolę w życiu naówczas stolicy Mazowsza odgrywały organizacje średniowieczne-cechy, konfraternje kupieckie, bractwa strzeleckie i t. p. Zarząd miasta stanowił burmistrz i rada, złożona z wybitniejszych obywateli. Przedstawiciele pospólstwa brali udział w zarządzie miasta jedynie jako organ kontroli. Władzę sądową piastowali wójt i dwunastu ławników.

Zbliżamy się do końca niepodległości dzielnicy mazowieckiej. Nadszedł dzień, gdy dzwony obwieściły zgon ostatniego księcia, koniec udzielności Mazowsza. Książęta Stanisław i Jan zeszli z tego świata w wieku młodzieńczym, a osierocony tron mazowiecki przeszedł do króla polskiego, wcielającego księstwo udzielne w skład Korony. Zygmunt I. odbywa dn. 25 sierpnia 1526 r. wjazd do Warszawy, rozpoczynając tym aktem nowy okres w historji naszej stolicy.

KR...

Leciało, świeciło, wrzeszczało...

O tem, kiedy zostałem krajoznawcą, mówił już swego czasu pan Gallus do pana Kadłubka, nie będę przeto powtarzał nudnej historji, swego wstąpienia do Koła, a opiszę tylko małą historyjkę, przeżytą w początkach mej karjery krajoznawczej.

Była wiosna życia pełna, kwieciem bzowym woniejąca...

Każdy uczciwy krajoznawca uczuwa w porze tak pięknej, pewne leniwe rozmarzenie i jak wilka srogiego, tak i jego, ciągnie coś do... lasu.

Spotkało się nas pięciu kolegów z wilczymi „ciągotami“. Jednomyślnie i odrazu postanowiliśmy zwiedzić puszczę Kampinowską, Białowieską, Tucholską i Świętokrzyską... Niestety! piękne plany rozbiły się jak zwykle o brak pieniędzy! Pojechaliśmy najprozaiczniej, z przeproszeniem, przez Tworki do Pruszkowa. Pruszków pod względem krajoznawczym przedstawia się podobno niczego.

Wiele o tym powiedzieć nie mogę, bo po pierwsze: nie myślę robić konkurencji poważnym autorom poważnych prac krajoznawczych, a po drugie: tak prędko przebiegliśmy ten gród zacny, dążąc do pobliskich borów, że nic absolutnie na kliszy mego mózgu się nie utrwaliło.

Brniemy w piachu dróg polnych, kichamy zawzięcie od zapachu ziemi rozmiękłej i skaczemy, jak młode koźlęta po świeżej murawie. Zbliżamy się powoli do borów poważnych... Machają nam przyjaźnie lecz i lekceważąco sosnowe konary. Wszywamy się w jaśniutką zieleń krzaków leszczynowych i po paru „kluczach“ zajęczych, „zapadamy“ wśród krzewów, pni i ziół. Po posiłku więcej niż obfitym, a złożonym z różnych kiszek i kiełbas, zabrał się każdy z nas do pracy. Jeden, przyrodnik zawołany, łapał pchły... ziemne, dwóch zawziętych futurystów niszczyło bezpłodnie kosztowne farby olejne, jeden „badylarz“ rwał zawzięcie zielska, nikiej krowa na pastwisku, a ostatni „mąż sprawiedliwy“ jęknął: „O loboga, to ci upał!“ i zasnął snem męża sprawiedliwego.

Bogobojnie zeszedł nam czas do wieczora. Ten z kolegów co za dnia wsławił się zbieraniem pcheł ziemnych, dał projekt, mówiąc słowy temi: „Piękny jest czas, wiatr niesie w las zapach kaczeńców złotych... Zostańmy na noc w „puszczy“ przy ognisku!“ Warjackie pomysły wśród warjatów zawsze znajdą aprobatę. Zostaliśmy. W skrytości przed niewyrozumiałym i niedelikatnym gajowym nagromadziliśmy chróstu na czas zimnej nocy majowej i trwaliśmy w błogiem oczekiwaniu na zgaśnięcie zórz wieczornych.

Ptaki leśne, jako żydowiny na jarmarku w Pacanowie, hałas i harmider czyniły, niknął zwolna na sosen wierzchołkach odblask krwawy wieczora... Siność i mgły płyną z głębi lasu.. Nadchodzi chwila uroczysta, zapalamy ognisko.

Pierwsze godziny czuwania przy ogniu mnie przypadły w udziale. Dobrze po północy objął wartę mój kolega „mąż sprawiedliwy“. Okręciłem się kocem i ległem przy ognisku. Obudziły mnie jednak wkrótce wrzaski nieludzkie: „Deszcz pada, deszcz pada!“

Gorączkowo chwytamy manatki w słabych blaskach dogorywającego ogniska. W ogólnem zamieszaniu z niemałym trudem udało nam się dobyć latarkę elektryczną i kompas.

Deszcz kroplami dużemi, jakby groch spadał. Pędzimy po krzewach obijając głowami o pnie sosnowe, co chwilę któryś z nas padał jak długi na oślizgłą ziemię. Wydobywamy się wreszcie

z lasu, przed nami pół kilometra pola deszczem smaganego, a dalej wieś niewidna w pomroce nocnej.

Wpadamy na błotnistą ścieżkę, na przodzie futurysta z latarką elektryczną, za nim łowca pcheł z kompasem rwą z „kopyta“ wściekłego galopa krzycząc co sił starczy: „O nieszczęście, nieszczęście, kara Boża“. Piorun tak prędko nie spada z chmurnego nieba, jak nasza piątka z wrzaskiem zgoła nie człowieczym wpadła do wsi. Jeden rzut oka wystarczył nam, by dojrzeć w mrokach obszerną werandę przed jedną z chat. Schronisko nasze szczególnie dobrem nie było: po przez dach dziwaczny leciały krople wody. Światło latarki ukazało nam pośrodku niewielki stół. Natychmiast trzech nas położyło się pod stołem, dwóch na stole. Zwabiona hałasem zjawiła się gruba wielce i wylękniona gospodyni chaty. Zoczyła „5 kur zmokłych“ i wysłuchawszy odpowiednich wyjaśnień pozwoliła nam pozostać do rana na werandzie. „Trudno, spać trzeba“ rzekłem i nie zważając, że woda brudna ścieka mi za kołnierz z tych kamratów, co na stole spoczywali, zamknąłem oczy i usiłowałem zasnąć. Leżymy, aż tu chlap, chlap, po błocie na ulicy wioskowej. „O rety“ szepcze mi w ucho towarzysz niedoli „siedmiu chłopa z drągami idzie ulicą“... chlap, chlap, już są blisko werandy, słyszymy rozmowę: „Nie widzieliśta sołtysie, co to za licho od lasa leciało, świeciło i wrzeszczało“. Uczułem drżenie w kolanach, chlap, chlap ciężkie kroki powoli oddalały się. Brzask szary zastał nas brudnych i przemoczonych do suchej nitki w drodze do stacji kolejowej do Pruszkowa. Szczękając zębami biegliśmy pędem po kałużach wody, lecz mimo zimna humor nam dopisywał. Szczęśliwie dojechaliśmy do Warszawy. Zdawać się to może komu dziwnem, lecz ja zawsze mówić będę, daj nam Boże wycieczek takich więcej.

MAKS BERŻYŃSKI.

Fragment z pierwszej wycieczki do Krakowa.

Kanjon Prądnika.

Dolinę Prądnika najwygodniej jest zwiedzać od początku t. zn. od strony Olkusza i następnie z biegiem strumienia w dół.

Tak też uczyniła wycieczka naszego Koła w r. 1922.

Zaraz za długą, ośmio-kilometrową wsią, Sułoszową, coraz częściej obserwowaliśmy wystające z roli skałki wapienne, co było zapowiedzią pięknego, malowniczego kanjonu Prądnika i Ojcowa. Jedna szczególnie zwróciła naszą uwagę swą wysokością i kształtem. Naturalnie, że za chwilę z niemałym trudem byliśmy na jej szczycie w kształcie czworokątnej płaszczyzny; trud nasz został sowicie wynagrodzony: ujrzeliśmy kilka pięknych ostów-dziewięciorników z zupełnie rozwiniętemi kwiatami. Znaleźliśmy też kaktusowate skalnice. Okazy były rzeczywiście godne zachowania, więc najpiękniejsze wzięto do zbiorów.

Zrobiono tu niedługi odpoczynek, przyczem aparaty fotograficzne uwieczniły naszą grupę na kliszy. Jednak czas naglił.

Wkrótce dochodzimy do źródła Prądnika, bijącego swobodnym strumyczkiem z pod wapiennej skały. Samo źródło otoczone betonową obwódką czyni wrażenie studni. Początkowo Prądnik sączy się płytkim strumykiem, lecz dalej rozszerza się w wartki potok, dochodzący do 8 m szerokości. Posiada on charakter wybitnie górski, nawet pod względem faunistycznym, gdyż trafiają się w nim pstrągi.

Przypuszczają, że kanjon, w którym płynie, powstał wskutek erozyjnej działalności wód lodowca i samego Prądnika; temu zawdzięczamy najpiękniejszy i jeden z najbardziej malowniczych zakątków kraju.

Idąc wzdłuż brzegów, zawsze ciekawie rozglądamy się dokoła. Choć krajobraz, jaki mamy przed nami, jest zamknięty i przedstawia tylko potok, drzewa, wapienne ściany wąwozu, to jednak ich wzajemne kombinacje są tak różne i tak artystycznie piękne, że trudno od nich oczy oderwać. Szczególnie do tego przyczyniają się ściany wąwozu. Ich biel przebija się przez ciemną opokę sosen, dając nieraz piękne motywy malarskie. W niektórych miejscach zwietrzałe bloki skalne przedstawiają jakieś fantastyczne ugrupowania. Jedna i ta sama skała, z różnych miejsc widziana daje różne widoki w otoczeniu ciemnego tła sosen.

Sam Prądnik też bardzo wiele przyczynia się do tej malowniczości. W niektórych miejscach rozgałęzia się na kilka ramion, tworząc trawiaste kępy pełne drzew, to znów rozlewa się szeroko w sadzawkę o wodzie spokojnej, dalej staje się prawdziwym górskim potokiem, o wodach silnie szumiących, które skacząc z kamienia na kamień pienią się, tworząc minjaturę porochów. Wszędzie zaś na nim uwijają się śnieżno białe gęsi i kaczki, co na tle ocienionej drzewami wody daje piękne obrazy.

Droga, w niektórych miejscach wyboista, prowadzi prawie brzegiem wody. Zdarza się, że biegnie ona pod skałą prawie pionową; wtedy idzie się jakby po tarasie. Z jednej strony szumi i pieni się Prądnik, a z drugiej wznosi się majestatyczna skała, która oparła się jego działalności.

Często spotykaliśmy chaty przylepione do ściany jak gniazda jaskółcze, lub wciśniętą między dwa bloki skalne, co znacznie ułatwiało budowniczym pracę i redukowało koszta.

Wkrótce dochodzimy do Pieskowej Skały i stajemy przed majestatycznym zamkiem. Będąc na dnie doliny nie widzieliśmy zachodzącego już słońca, ale zato przed nami rozpościerał się wspaniały widok na zamek, którego górne piętra odbijały czerwonawe blaski, dolne zaś, nieoświetlone, były w cieniu; w milczeniu usiedliśmy.

Każdy przeniósł się myślą do dawnych czasów, kiedy ten zamek był pełen gwaru i życia rycerskiego. Zdawało nam się, że za chwilę usłyszymy dźwięki surm i konny oddział rycerzy wypadnie z wrót i zniknie, jak duch minionych czasów, za zakrętem doliny.

Jednak spokojna cisza panowała wokół.

Siedzieliśmy tak kilka dobrych chwil, lecz rzeczywistość obu-

dziła nas: byliśmy na wycieczce. Żołądek domagał się swego, nogi — wytchnienia, a zbliżający się wieczór radził wyszukanie noclegu. Początkowo postanowiliśmy załatwić to pierwsze i szukaliśmy odpowiedniego miejsca na postój, gdzieby można rozniecić ognisko i skonsumować własnoręcznie przygotowaną strawę.

Szybko minęliśmy zamek i udaliśmy się w kierunku skał Wernyhory pionowo wznoszących się z dna doliny i przylegających do jego lewej ściany. Po drodze sfotografowaliśmy Maczugę Herkulesa. Zaraz za skałami Wernyhory ściana wąwozu zmienia się na stromą pochyłość, porośniętą drzewami; tędy dostano się pod sam szczyt skał. Zdjęto plecaki, żwawo zabrano się do zbierania chrustu. Ja zaś z jednym kolegą udałem się do zamku w sprawie noclegu.

Trawersowaliśmy prosto przez las, aż po wielu trudach, związanych z orjentacją w gąszczu, dotarliśmy do starej siedziby Szafrańców.

Szukamy jakiejś żywej istoty; wreszcie znajdujemy stróżkę i delikatnie wypytujemy, do kogo zamek należy, dyplomatycznie ją zagadując, żeby „pozyskać jej łaskę". Ta dowiedziawszy się, o co nam chodzi, wskazuje, gdzie się znajduje pan „ministrator". Udajemy się we wskazanym kierunku i znajdujemy niebawem pana „ministratora".

Ledwo uchylił czapki na nasz dworski ukłon, wysunął dolną wargę i nastroszywszy wąsy, czekał, co powiemy. Wobec takiej jego postawy wszystkie dyplomatyczne argumenty gdzieś nam uciekły i odrazu przeszliśmy do sprawy noclegu. Pan „ministrator" pokręcił głową, zamyślił się, zmierzył nas podejrzliwie oczyma i rzekł krótko: „Nie". Już nic nie pomogło; groźny mąż, jakby skamieniał.

Dla nas, kilku młodzieńców, nie potrzebujących prawie żadnych wygód, w całym zamku mogącym swobodnie pomieścić kilka kompanij wojska, nie znajduje się ani jeden kącik? Dziwne, aż bardzo mocno dziwne. Nie licuje to z naszą dawną i tradycyjną gościnnością polską. A zresztą, cóż może obchodzić takiego pana kilku włóczęgów, pragnących poznać swą ziemię ojczystą?

Wracając do naszych, zdaleka widzieliśmy dym bijący słupem prosto ku niebu. Już w kociołku gotowała się kasza, a w menażkach desery. Siedliśmy wokół ogniska, czekając na koniec czynności kucharskich. Jednak znudziło to nas szybko; zostawiając kucharza na stanowisku wdrapaliśmy się na szczyt skały, aby przyjrzeć się z góry dolinie.

Był już mrok. Na dole zupełna cisza, przerwana tylko szumem Prądnika. Zamek swą wspaniałą budowlą, odbijającą się na tle ciemnego lasu i zapadającej nocy, majestatycznie wznoszący się z dna doliny, zaświecił kilkoma oknami, dodając tajemniczości do widoku.

Wkrótce kucharz dał znać o sobie wołając na kolację. Uczta była wspaniała; choć gorąca strawa parzyła nam usta, za kilka chwil kocioł zaświecił dnem i menażki były puste. Spieszyliśmy się, gdyż ściemniło się na dobre.

Za chwilę — wszystko gotowe do drogi: ognisko zagaszone

i przysypane ziemią, wszelkie ślady „obozowiska“ zatarte. Pędem zbiegliśmy na dół i świecąc latarkami, ruszyliśmy w stronę Ojcowa na poszukiwanie noclegu.

Dłużniku! Papier i drukarnia dużo kosztują, możebyś zapłacił!?

* * *

Niedbali i niesumienni dłużnicy zalegają z opłatami przeszło 1.000 zł.!

* * *

Takie niedbalstwo i taka niesumienność podkopują byt pisma — rujnują wydawców — zniechęcają do pracy!

J. D.

Muzeum Etnograficzne na Wawelu.

Mimo ciężkich materjalnych warunków i nieugruntowanego jeszcze wśród szerokich sfer polskiego społeczeństwa zrozumienia dla ważności wiedzy ludoznawczej, wawelskie Muzeum Etnograficzne, pierwsza tego rodzaju w Polsce samodzielna instytucja, rozwija się coraz wydatniej i w coraz żywszem tempie. Kierowana ręką założyciela swego i senjora etnologów polskich, Seweryna Udzieli, pomnaża stale swe zbiory drogą darów prywatnych i zakupów, wzbogaca nowemi nabytkami materjały rękopiśmienne, zbiory bibljoteki, fotografij i rysunków, dostarczając bez przerwy fachowych informacyj ustnych i piśmiennych dla badaczy polskich i zagranicznych. Pocieszającym faktem jest coraz żywsze zainteresowanie się zbiorami, które tłumnie w ostatnich czasach nawiedzają szkoły, wycieczki, kursa itp.; pozatem w salach muzealnych rysują stale uczniowie Akademji Sztuk Pięknych oraz Państw. Szkoły Przemysłu artystycznego. Ilość osób zwiedzających zbiory w pierwszem półroczu r b. wyniosła 3329 — gdy w ciągu całego roku 1924 zwiedziło Muzeum osób 5957.

Do ważnych czynności zarządu Muzeum ostatniego okresu należało otwarcie bezcennych zbiorów egzotycznych z Azji, Afryki i Ameryki, pochodzących wyłącznie z darów podróżników i uczonych polskich. Zbiory te, wśród których wyróżniają się wspaniałe eksponaty jawajskie, rozmieszczono w dawnej barokowej kaplicy seminarjum wawelskiego. Pozatem sprawiono cały szereg nowych szaf i gablot, co umożliwiło wystawienie niedostępnych dotąd okazów strojów, tkanin i haftów ludowych. Korzystając z pory letniej wietrzy się i oczyszcza wszystkie pomieszczone w Muzeum okazy, przedewszystkiem stroje i tkaniny. Pozatem przeprowadza się szczegółową inwentaryzację obszernego działu ruskiego, która w chwili obecnej dobiega końca. (*„Rzeczy Piękne“*).

Z życia organizacyj krajoznawczych.

Koło Krajoznawcze Młodzieży przy Polskiem Towarzystwie Krajoznawczem w Warszawie istnieje już lat 4. Powstało w lutym 1924 r. pod nazwą „Orlego Hufca“. Inicjatorem i twórcą Koła był dr. Tadeusz Dybczyński, członek P. T. K. Zebranie inauguracyjne odbyło się 13 marca 1921 r. przy obecności prezesa P. T. K. p. A. Janowskiego. Koło zaczęło się rozwijać pomyślnie tak, iż w krótkim czasie lista członków wykazywała 89 osób.

W skład członków wchodziła młodzież szkół średnich: męskich i żeńskich. Z nastaniem roku szkolnego 1921/22 „Orli Hufiec“ zreformowano, usunięto koleżanki, a nazwę Koła zmieniono na „Koło Szkolne Krajoznawcze“ przy P. T. K. w Warszawie. Główny protektorat nad Kołem powierzono Kołu



Delegaci bocheńscy składają w darze dla Muzeum Etnograficznego „wózek wielkanocny“.

akademickiemu krajoznawczemu. Prace członków Koła zaczęły zakreślać szersze horyzonty. Utworzono 2 komisje: wycieczkową i referatową. Zorganizowano kurs instruktorski przewodników po Warszawie. W roku szkolnym 1922/23 Koło akademickie krajoznawcze odłącza się od P. T. K. Koło więc nasze zostaje pod bezpośrednim zarządem P. T. K. W roku 1923/24 zmieniono nazwę Koła na „Koło Krajoznawcze Młodzieży przy P. T. K. w Warszawie“.

Powodem zmiany było pozostanie tych członków w Kole, którzy pokończyli szkoły średnie. Opracowano ostatecznie statut (dnia 6 września 1924 r.), dano go do zatwierdzenia Radzie Krajoznawczej. W roku tym zebranie walne obrało p. prezesa A. Janowskiego członkiem honorowym.

Obecnie w skład członków Koła wchodzi młodzież tak szkół męskich, jak i żeńskich w liczbie 57.

Pracę zasadniczo podzielić można na dwie kategorje: referatową i wycieczkową. Co tydzień na zebraniach Koła wygłaszane są odczyty z przeźroczami. W ostatnim roku szkolnym referatów wygłoszono 16. Obecnie

został zorganizowany cykl odczytów z dziedziny historji Warszawy dla członków Koła, oraz dla młodzieży szkół średnich, jednocześnie z cyklem odczytów organizowane są co niedzielę wycieczki. W skład zarządu wchodzą koledzy: Berżyński, Mamrot, Guerynin, Piotrowski. W skład komisji rewizyjnej koledzy: Kotecki, Bartosiewicz, Romejko.

Koło Krajoznawcze w Bochni ofiarowało dla Muzeum Etnograficznego na Wawelu „wózek wielkanocny z traczykiem“ puklerz i czaka tekturowe z Woli Batorskiej pod Niepołomicami (opis w roczniku IV. Orlego Lotu, z r. 1923, str. 74). Przywieźli go i wręczyli kustoszowi Muzeum p. S. Udzieli czterej delegaci Koła z prof. St. Warcholikiem na czele. Na ilustracji naszej widzimy ten wózek na stole, obok siedzi p. S. Udziela, za stołem w ramach drzwi delegacja bocheńska, między p. Udzielą a stolikiem stoi prof. Warcholik. Delegacji bocheńskiej towarzyszą przedstawiciele Koła Krajoznawczego Gimnazjum VII. w Krakowie.



Korona anioła. Dar Koła kieleckiego
dla Muzeum Etnograf. w Krakowie.

Koło Krajoznawcze Uczniów Seminarjum Nauczycielskiego w Kielcach złożyło w darze koronę, jaką nosi anioł towarzyszący „Herodowi“ w okresie świąt Bożego Narodzenia we wsi Wierzchowina, pow. Krasnystaw, woj. Kieleckie.

Z książek i czasopism.

Czasopismo Geograficzne. Tom III. z. 1/2. Czasopismo to powinny zaprenumerować wszystkie Koła Krajoznawcze. Treść omówimy szczegółowiej w następnym numerze.

Kresy ilustrowane są czasopismem poświęconem krajoznastwu, historji oraz życiu kulturalnemu Polesia. Redagowane są w porozumieniu z Polskiem Towarzystwem Krajoznawczem (Oddział Poleski) w Brześciu nad Bugiem. Adres Administracji: Brześć n. B. ul. 3 Maja 38.

Kształt i Barwa. R. IV. Cześć pamięci. Wł. Gostyńska: Lekcja zdobnictwa

w IV. klasie szkoły powszechnej. Fel. Roliński: O rozwijaniu twórczości i wyobraźni Ad. Borkowski: Wycinanki. Józ. Tor: Znaczenie nauki rysunków. St. Matche: Ruch obecny. Sprawozdania. Sprawy Stowarzyszenia. Przegląd literatury fachowej. Wiadomości mieszane.

Poradnik językowy. Kraków, ul. Podwale 7. II. p. Z. 6 i 7.: Poprawność językowa w teorji a w praktyce. Jeszcze o przysłowiach i przenośniach. Zapytania i odpowiedzi. Roztrząsania. O poprawność języka przez A. A. Kryńskiego i J. Rz. Pokłosie przez Mgr. Nowe książki. Odpowiedzi na zagadnienia.

„Rzeczy Piękne“. Miesięcznik wydawany staraniem Muzeum Przemysłowego w Krakowie pod redakcją Kazimierza Witkiewicza, zasługuje ze wszech miar na uwagę nietylko ze względu na treść, obfitującą w prace o sztuce stosowanej ale i z uwagi na staranną formę graficzną. Zeszyt 6, 7, 8, zawiera następującą treść: Tadeusz Seweryn: Kaszubski przemysł domowy. Ks. dr. Tadeusz Kruszyński: Sarkofag Ludwiki Marji Gonzagi w podziemiach katedry wawelskiej. Dr. Włodzimierz Budka: Działalność architektów i rzemieślników w katedrze płockiej w wieku XVI. Stefan Szuman: Kilim słowiański, kobierzec azjatycki, gobelin francuski. Leonard Lepszy: Monstrancja dominikańska z Podkamienia i złoty wieniec królowej Bony. Dr Tadeusz Dobrowolski: Ze studjów nad stolarstwem polskiem w epoce gotyku (zabytki Małopolski). Dr. Jarosław Doliński: Barwniki sztuczne, czy naturalne? Prof. Karol Homolacs: F. Jean Desthieux „Qu'est-ce que l'art moderne“. Międzynarodowa wystawa sztuki dekoracyjnej w Paryżu w 1925 roku. Ze zjazdu Miłośników Książki w Krakowie w dniach 27, 29 i 30 czerwca b. r. Kronika muzealna. Z działalności Muzeum. Kronika. Nadesłane książki i czasopisma. Zeszyt uzupełnia 17 tablic przedstawiających meble, kilimy, urządzenia sklepowe, architekturę i t. d. Adres Redakcji: Miejskie Muzeum Przemysłowe im. dra Adrjana Baranieckiego, Kraków, ul. Smoleńska l. 9. Telefon: 1339. Prenumerata: Pojedynczy numer „Rzeczy Pięknych“ 2 zł. 80 gr. Z przesyłką 3 zł. 50 gr. Kwartalnie 9 zł. 50 gr. Półrocznie 18 zł. Rocznie 35 zł. Ceny ogłoszeń: Cała strona 60 zł. $^1/_2$ str. 32 zł. $^1/_4$ str. 17 zł. $^1/_8$ str. 10 zł.

Rocznik Astronomiczny Obserwatorjum Krakowskiego za rok 1925, wydawnictwa tom IV, wydany przez prof. T. Banachiewicza, dyr. Obserwatorjum Krakowskiego, opuścił prasę. Każdemu Polakowi miło jest wziąć do ręki tą książkę, gdyż wypełnia ona lukę, jaka dawała się odczuwać w wydawnictwach naukowych w pierwszych latach po wskrzeszeniu Polski. Każdy bowiem kulturalny naród drukuje tego rodzaju wydawnictwa, przeznaczone do użytku astronomów, geodetów, inżynierów, geografów i tych wszystkich, których interesują nauki ścisłe. W części pierwszej Rocznika znajdujemy dane na rok 1925, tyczące się słońca, księżyca, planet i gwiazd stałych, przyczem momenty niektórych zjawisk, zależne od miejsca obserwacji, są osobno obliczone dla 5-ciu największych miast Polski. Część druga zawiera szereg ciekawych popularnych artykułów i tak: prof. M. Kamieński podaje historję obserwatorjum warszawskiego z okazji jego stuletniej rocznicy, prof. T. Banachiewicz wymienia interesujące szczegóły, tyczące się odkrycia „komety Orkisza“, prof. W. Gorczyński przytacza kilka wyników polskiej wyprawy słonecznej do strefy równikowej Afryki, p. J. Witkowski w artykule o „życiu gwiazd“ wykłada o zajmujących wynikach najnowszych badań astrofizycznych. Oprócz tego Rocznik zawiera artykuły: p. St. Andruszewskiego, o rezultatach obserwacji w Obserwatorjum poznańskiem planety Marsa podczas ostatniej jego opozycji w r. 1924, p. J. Gadomskiego: „O gwiazdach zmiennych oraz ich rozkładzie we wszechświecie“, p. K. Kordylewskiego o pracach niwelacyjnych dokonywanych w r 1924 przez Narodowy Instytut Astronomiczny, prof. D. Szymkiewicza z zakresu klimatologji, P. E. Stenza „O potrzebie obserwatorjum słonecznego“. Pozatem czytelnik znajdzie tam w tłumaczeniu dr Reutt-Witkowskiej dwie ciekawe prace prof. H. W. Russell'a i E. Pahlena p. t. „Nowe fakty o życiu na Marsie“, oraz „Nieskończoność wszechświata a teorja względności“. Całość oprawna, na papierze bezdrzewnym, liczy 208 stron druku, oraz 40 rycin i rysunków, kosztuje 6 zł

Redaktor: Leopold Węgrzynowicz, Kraków IX., Krowoderska 74 II p.
Administracja: Kraków-Dębniki, Księgarnia „Orbis“.

Nakładem i drukiem „Orbis“ w Krakowie.